



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

## SEN O MAJU.

Boże, mój ojczy, daj mi, o daj!  
By w tę noc mroźną snił mi się maj.  
Na oknie mojem iskrzący lód  
Zeszklął się w jakiś brylantów kwiat,  
Lecz zaliż Tobie ciężkim jest cud,  
Tobie, coś wywiódł z niczego świat?  
Więc kwiaty z lodu zmień w pęki róż,  
Niech śniąca wołam:—Ach! wiosna już...  
Ludzie powiedzą:—Szczególny sen!...  
Widzenie maju w mroźny czas ten...  
Lecz już zarazę marzeń im dam,  
I będą widzieć obraz tensam:  
Serca im będą gorąco bić,  
Będą pamiętać i będą śnić.  
Zimy w połowie złamie się moc —  
Przez sen o maju w śniegową noc.

M. I.

## Pozytywizm w praktyce

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg).

— Obyś wrócił zwyciężcą! — przerwał mu wujcio. Kraj, — pamiętaj na biedny nasz kraj. Niemcy

jak mrówki już wydeptują w nim ścieżki — a my, my stara szlachta — Boże!... Niech wszyscy dya bli wezmą, idziemy na ekonomów!

Władysław wyszedł.

— Bravo, wujcio, — odezwał się wesoło Kazimierz.

— Umie walczyć, co? Aleśmy mu sumienie nakruszyli. Do szlachcica polskiego zawsze trafisz miłością kraju. — I mówię ci, Kaziu, że to dobry znak. Niech przez ciebie gada, co chce, twój pozytywizm: mówię, że to dobry znak. Jak ci się zdaje: co postanowi Władek, gdy wejdzie w siebie?

— Pomimo sentymentalizmu, którym jest prześląknięty, umie on rachować.

— Rachować, rachować. Jakież z ciebie przebrzydły materyalista! A ja ci powiem, że przy miłości swej, bo to widać, że się zakochał, umie on się poświęcać. A i my po pracy mamy prawo zabawić się.

— Przyznam się wujowi, że nie mam wielkiej ochoty do gry.

— Więc cóż będziemy cały wieczór robić? Powtarzać obgadane plotki, lub stare koncepta odgrzewać?

— Nareszcie powiem prawdę, słabo gram w pikietę.

— Wiesz, idealna mi myśl przyszła.

— Słucham.

— Gruszecki stoi obok mnie, nie zna nikogo w Krakowie i pewno się nudzi. Poszlę po niego i zrobimy sobie wiścika z dziadkiem.

— Jeżeli koniecznie.

— Koniecznie, bo mnie i tobie potrzeba dystrakcji, rozerwania myśli. Małośmy się namęczyli?

Wujcio na bilecie napisał zaproszenie i posłał je do Hotelu Saskiego. Za parę chwil stawił się Gruszecki i wśród milej gawędki i konceptów wujaszka toczył się spokojnie wist, rober za robrem.

Z pochyłą na piersi głową, z założonymi za siebie rękami, szedł wolno zrozpaczony młodzieniec, przesuwał się wśród czarnych drzew i zie-

lonych liści, oświeconych światłem latarni. Często stawał, ręce wznosił do nieba i srebrnych gwiazd, wzdychał ciężko, szydersko się śmiał — po czym znów zapadał w głęboką zadumę.

O czym myślą sentymentalni, gdy walczą z rozsądkiem, nie wiem — to można tylko przypuścić, że jeżeli dopuszczają do walki rozsądek — zwykle przegrywają.

Partya się skończyła, wujcio, majster w wista, wygrał — i z samej logiki faktów prosił towarzyszy na kolacyę. Był i szampan. Pito na cześć naszego starego: Nie dajmy się — na pohybel Niemcom — i nareszcie zgody serca z rozumem.

Gruszecki poszedł do siebie; wujcio postanowił czekać powrotu Władysława, który niebawem nadszedł.

— Władku, chodź w moje objęcia, — wołał rumiany, widać ci z oczu, żeś się pokonał. O — to wejście w siebie, wierzą mi, dużo znaczy. Przycisnął młodego człowieka do swych potężnych piersi, — którychby się Fidyasz nie powstydzil, — całując go w głowę. Wiesz, gdy tylko człowiek wejdzie rzetelnie w siebie, to z pewnością wyjdzie innym. — Kocham cię, jutro jedziemy do Warszawy, — bo cóż to tu za piekielne nudy!

Kazimierz wyciągnął rękę do Władysława — uściskali się w milczeniu serdecznie.

— Istotnie przyznaję, — zagalopowałem się — rzekł smutno Władysław.

— Zapędziłeś się galopem, a trzeba się cofnąć truchtem, to jest z taktem i elegancją. Wujcio się rozśmiał, oczy mu świeciły, zacierał ręce i był dumny z siebie.

— Z taktem i ucziwie, ale jak? — pytał młodzieniec. Boję się, aby Zosia nie odchorowała zerwania.

— Powoli, elegancko i z szykiem — a jak to zrobić? powinniśmy się naradzić. Otwieram dyskusyę. Kaziu, masz głos.

— Podobno panie te mają opiekuna — spytał Kazimierz.



— Mają; poznałem go w Krynicy.  
 — Napisać do niego, przedstawiając mu ze spokojem i godnością całą rzecz.  
 — Mieszać w sprawy sercowe ludzi obcych? — odezwał się Władysław.  
 — Trafieś jak kulą w plot — zawołał wujcio.  
 — Opiekun człowiek zimny i obojętny, — mówił zakochany, — przeszłe list matce — matka odda go córce i gotowa katastrofa. A gdybym odebrał wiadomość, że Zosia zachorowała skutkiem zerwania, rzucam wszystko i wracam, aby ją na kolanach błagać o przebaczenie.  
 — Nigdy nie radzę bawić się w pisaniny, zakonkludował wujcio. Tem więcej w tym wypadku wyglądałoby to na lekceważenie. Przecież to rodzina szlachecka, poważana — wystrychnęlibyśmy się na dudków. Trzeba całą sprawę skończyć z honorem. Ot co wam mówię. — Ty, jako starszy brat i opiekun, pojedziesz, — poznasz....

— Ja?...  
 — Tak, ty załatwisz całą sprawę osobiście.  
 — A to dla czego?  
 — Boś ty zmusił Władzia do zerwania.  
 — Ależ....  
 — Żadnego ale — pojedziesz. Jesteś z całej rodziny najbardziej ogładzony, masz wykształcenie, czysty rozum, z którym tak lubisz wyjeżdżać. Do tego dodaj przytomność umysłu, dowcip i twój ulubiony pozytywizm. A nareszcie jestto, jako starszego brata, twój najświętszy obowiązek.

— To raczej wujaszek...  
 — Nie pleć, bo wiesz dobrze jak ja się łatwo rozczulam. Zobacząc łyzy i ładnego dziewczęcia — i po mnie. Sam byłbym gotów zaszczoać. Ja mam serce! — Co innego ty — pozytywista, a mówiąc prawdę egoista, skończony — ty sobie dasz radę.

— W końcu możesz powiedzieć prawdę o stanie mego majątku — dodał Władysław. — Bo przyznam się wam, że oprócz sploty Maryni mam jeszcze, wprawdzie niewielkie, lecz dotkliwe długi. Przecież tego pisać nie można.

— A niech Bóg broni! Taby tak wyglądało, jakbyś chciał kuć przeciw sobie samemu broń. Przez zemstę mogłyby pokazywać ten list w okolicy — a choćby nawet opiekunowi... Cóżto nie wiecie, że w Polsce języki długie, — że polska szlachta, to jakby jedna rodzina — kuzynów, ciotek bez liku? Za tydzień wiedziałoby o tem całe Łęczyckie, a za dwa tygodnie twój ekonom rozmawiałby o twych długach z pachciarzem. Tegoby jeszcze brakowało....

— A więc, kochany Kaziu, zgadzasz się — mówił, serdecznie zbliżając się do brata, Władysław.

— Musi, — zawołał wujcio, — musi — od czegoż poświęcenie. Przepraszam pana pozytywistę — rozum — wreszcie szacunek dla samego siebie i swego nazwiska. Słuchajcie: taki stawiam projekt. Jutro z Władziem wyjeżdżamy, bo chłopiec przecie potrzebuje rozrywki, odurzenia, aby mu łatwiej przyszło zapomnieć; a ty, mój pozytywisto, wieniec swe dzieło pomyślnym skutkiem, czyli łątaj przepaść, którą sam zrobiłeś. Widzisz i ja umiem poetycznie się wyrażać.

— Lecz cóż ja powiem?  
 — A to wyborne! — deklamował przez cały wieczór, prosił, zaklinał, a teraz nie wie, co powie. Jeżeli wszyscy pozytywiści są tak dzielni gracze, winszuję im. Co masz powiedzieć? Powtórz coś mówił bratu przed dwiema godzinami, tylko w odpowiedniej formie, ozdobionej stosownymi oratorskimi gazami dla mamy dobrodziejki i jej córeczki. Nic więcej nie żądamy.

— Błagam cię jednak — rzekł z uczuciem Władysław, — abyś to zrobił w najdelikatniejszy i najszlachetniejszy sposób. Są to kobiety bardzo dystygowane i uczuciowe. Kaziu, daj mi słowo, że ich niczem nie dotkniesz, że podczas pobytu w Zalesiu żądło twego dowcipu ukryjesz głęboko w sercu.

Kazimierz się uśmiechnął nieznacznie, lecz pośpieszył odpowiedzieć.

— Czyż może być inaczej? — Panna Zofia, gdyby miała posag, lub gdyby na to pozwalały twe interese, byłaby moją bratową, matka jej matką twej żony. Nareszcie pochlebiam sobie, że jestem człowiekiem dobrze wychowanym, przyzwyczajonym oddawać należną cześć kobietom. Zostało nam jeszcze coś z rycerskości dawnych wieków — mimo pozytywizmu.

— Przyjdzie ci całą kwestyą przeprowadzić łątwoj, niż komu innemu, gdyż mówiłem Zosi o twym pozytywizmie.

— Mówiłeś?  
 — Bardzo często; lubiła się wypytywać o ciebie, o twe zasady. Nie było dnia, abysmy nie mówili o tobie. Zna cię wybornie.

— Rzecz skończona, dyskusya zamknięta. Kazio da sobie radę, jestem pewien, niema o czem mówić; lecz boję się, abyście nie rozprawiali przez całą noc. Wyborna idea przyszła mi do głowy. Sprowadzam się do was, aby jutro rano obudzić Władka, zabrać go i razem z nim wyjechać.

Rzeczy przyniesiono z Saskiego Hotelu, z niemi pościel, i wujcio, ułożywszy się wygodnie, zgasił światło i zmusił braci do spoczynku.

Władysław nie spał, przewracał się, wstawał, chodził i jakby usiłował akkompaniować chrapaniem wujcia, wzdychał często i miarowo.

Nazajutrz rano odwoływał wszystko, co postanowił wczoraj — protestował przeciw wyjazdowi Kazimierza do Zalesia, nie chciał jechać do Warszawy. W głośnych deklamacyach przeproszał swą ukochaną Zosię i jej matkę, rad był lotem ptaka być u nóg swego anioła — a mimo to, po wypiciu kawy, zapaleniu cygara, gdy siódma wybiła i służący hotelowy dał znać, że czas już jechać na kolej, dał się uprosić i zabrać, ale tylko na jeden tydzień. Kazimierza zaklinał, aby jechał do Zalesia, lecz tylko w zamiarze poznania Zosi i jej matki.

— Za tydzień, kochany Władziu, dasz z Warszawy stanowczą odpowiedź bratu — mówił wujaszek, mrugając znacząco na Kazimierza.

— Ależ ja jestem zdecydowany dziś — zawołał dramatycznie Władysław.

— Dobrze, wybornie — za tydzień napiszesz bratu, co ma mówić w twojem imieniu.

— Bo i mnie nie wypada — rzekł półgłosem Kazimierz do wujcia — zaraz pierwszego lub drugiego dnia zrywać. Trzeba zaczekać na sposobność.

— Która przez tydzień czasu musi się nadarzyć, — odparł wujaszek.

— Co się musi nadarzyć? — pytał Władysław, wracając z drugiego pokoju.

— Sposobność do zrobienia partyi w wagonie, i dla tego zabieram karty. To mówiąc, zawiązał dwie talie we wczorajszą gazetę i schował do kieszeni.

Pojechali na kolej; Kazimierz ich odprowadził.

— Jakże wuj myśli? — Władek wytrwa w swem postanowieniu?

Wujcio zaśmiał się głośno.

— Warszawka umie leczyć młodzież ze zbytnej czułości serca. Już mnie to zostaw.

— I nie napisze, abym nie zrywał.

— Z pewnością.

— Korzystać więc ze sposobności?

— Dziaś — jutro.

— Muszą być wielkie nudy na małej, galicyjskiej wiosce, jechać jednak muszę, aby skończyć z godnością.

— Musisz, — szepnął wujcio, — musisz z szacunku dla nas samych. Bo jeżeli my się przestaniemy cenić....

Zadzwoniono, nadszedł z biletami Władysław, bracia uściskali się serdecznie — wujciowi roily się koncepta — maszyna świsnęła przeciągle, po ciąg ruszył — pojechali.

Kazimierz wrócił do miasta. Idąc przez planty, rozważał:

— Gdyby Władysław nie był szlachcicem polskim, gdyby miał energią Anglika, wytrwałość Niemca i spryt Francuza do robienia pieniędzy z niczego — niechby się żenił, jakby chciał i z kimby chciał. Lecz, niestety, jest on tylko polskim szlachcicem. Natura słaba, sentymentalizmu w nim tyle, żeby mógł nim obdzielić trzy stare panny; — o wytrwałości niema mowy, za to fantazyi zawiele. Zapala się jak iskra, chłodnie jak żelazo — deklamuje. I cóż dziwnego, że go opanowały szlachcianki, rade podreparować się jego majątkiem! Poznawszy słabe strony młodzieńca, deklamowały razem z nim. I nareszcie zabawiły się w szlachetność i bezinteresowność, ostrzegając go, że posagu nie dostanie, albowiem sam mógłby się o tem dowiedzieć w dwadzieścia cztery godziny. Naiwny chłopak dał się i na tak zwykłą wędkę złapać.

Ratujmy go! Co ja jednak będę robił z dwiema szlachciankami cały tydzień?! — Wstąpił do księgarni, zakupując do czytania traktaty z socjologii i ekonomii politycznej.

Aby sobie skrócić pobyt na wsi, zabawił w Krakowie dzień cały, — zwiedził Wawel, Bibliotekę Jagiellońską, muzea; wieczorem był w teatrze, noc przespał spokojnie — i o jedenastej przed południem, żegnając Kraków, patrzył z okien wagonu na wieżę Wawelu, kopiec Kościuszki i wązką smugę Wisły.

Na pierwszej stacyi w Bierzanowie dostał za towarzysza czerstwego, uśmiechniętego staruszka, którego widocznie milczenie dręczyło; szukał sposobności do rozpoczęcia gawędki i znalazł ją. Zapomniał zapalek — Kazimierz pośpieszył mu podać swoje pudełko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WSPOMNIENIE POETY.

(Dalszy ciąg)

Pakh porwał przyjaciela w objęcia i prowadził za sobą, aby podzielić z nim mieszkanie i łóżko, a Petöfi opowiedział mu, jak w drodze bieda zmusiła go suknie lepsze sprzedać i odziać się guńką słowacką, jak choroba sił go pozbawiła, i jak, dobijając ich ostatek, usiłował dowlec się do Debreczyna. gdzieby przynajmniej ręka przyjazna zamknęła mu oczy i pochowała go w ziemi poświęconej. Na szczęście nie stało się tak. Odpoczynek i trocha wygody przyszły z pomocą młodości, aby śmierć odpuścić, ale poeta był niemniej, nietylko wycieńczonym, ale i chorym — chorym całą zimę. Pakh nie mógł też na stałe w pokoiku swoim go zatrzymać i przyjęła go miłosiernie do siebie kaszjerka teatralna, bawiącej podówczas w Debreczynie trupy, wdowa Bordàs, pielęgnować go starannie i wierząc, że skoro tylko biedak do zdrowia wróci, zapłaci jej za pomieszkanie i pożywienie, które mu dawała. Że przecie nie była to kobieta bogata i Petöfi dostawał od niej pożywienie raz na dzień, przechodził biedak próby ciężkie wszelkiego rodzaju braków, walcząc przytem z chorobą i cierpieniami, które wespół z biedą sprowadzała. Domek wdowy Bordàs stał już gdzieś blisko rogatek miasta, trzeba się było do niego dostawać przez wązkie, brudne, błotniste uliczki, a nizki był, w ziemię zapadły, i tamto mieściła się nędzna izdebka, w której Petöfi mieszkał, a której jedyne okienko wychodziło na plac miejski tracenja zbrodniarzy i miało widok na szubienicę. Piec żelazny, w którym się nie paliło, dla braku kilku groszy na drzewo, służył poecie jako stół, przy którym poezye swoje pisywał, jeżeli nie leżał w łóżku, przykryty starą, zużytą, bezbarwną derką. Zponad tego tapczana spoglądał przecież Wiktor Hugo i Vörösmarty, to jest, wisiły nad niem dwie litografie, które Petöfi, mimo całej swej nędzy kupił sobie, opłacając je głodem może dnia niejednego. A studyował on wtedy Heinego i Bérangera, którego bardzo, bardzo wysoko cenil dla patryotyzmu jego i tego ciepła, które związane z wielką prostotą, czyniły go tak kochanym i popularnym, ludowym a raczej narodowym poetą Francyi. Jokay w mowie swej, mianej obecnie przy odsłonięciu posagu Petöfięgo, dziwi się ztąd temu, tak wstrzemięźliwie żyjącemu, temu nigdy żadnym zbytkiem pijackim niegrzeszącemu, poecie, przyszło opiewać wino i libacje Bachusowe? Otóż, może-by tu dopatrzeć można wpływu i naśladownictwa Bérangera, które przecież ograniczyło się szczęśliwie na tem tylko. Niema go ani w formie utworów Petöfięgo, ani w kierunku jego myśli, jakkolwiek jeden i drugi mieli dla narodów swoich jednakowych pragnień ideały; ale muza Petöfięgo była zawsze czystą: nigdy nie zestąpiła w kałużę błotnistą, nigdy nie potrafiła dowcipnem swym żartem o Boga na niebiosach, gdy poezya Bérangera, obok bardzo wysokich piękności i najszlachetniejszych uniesień



serca, brudzi się często niskimi obrazami zepsucia, rozpasaniem słowa, które myślić może nie już o muzyce z Helikońskiego Szczytu, ale o jednej z tych Menad, które w głęboko pomysłanym mycie greckim mordują Orfeusza, rozrywając go na sztuki i łamiąc lirę, śpiewane natchnień poetycznych narzędzie. Któryś z francuzkich krytyków chciał tem Bérangera tłumaczyć, że czynił on to kwoli pociągnięcia tłumnie ludu i następnie oddziaływania na niego, broniąc przed wpływami serwilizmu i klerykalizmu, ale któż to psuje, aby w podniosłym nastroju ducha utrzymać? Petöfi lepiej, rozzumniej, szlachetniej kochał, nie tylko Węgry, ale i lud węgierski, bo go za środek do planów swoich nie używał, i dlatego też innym wcale stało się jego stanowisko w narodzie. Petöfi to Tyrteusz, nieśmiertelnie dla Węgier żyjący, gdy Bérangier piosenkarz tylko, choć wielkiego talentu i wielkiego wzięcia, w pewnym okresie swego czasu. Stopień wzniosłości w uczuciach poety stanowi o sile jego wpływu, który się przez sam artyzm nie zyskuje i nie rozgłosem narazie wywołanym, popularnością chwili się mierzy. Są popularności krótkiego istnienia, efemerydy sławy: te, które mają żyć długo, muszą się oprzeć uczuciem na nieprzechodnych uczuciach i trzeba po nie, jak woła Słowacki, choćby sięgnąć do trzewi i zatargać. Takim poetą dla Węgier był Petöfi. Geniusz jego wyrósł z miłości i w sercach się sadowił; jego wytrwałość w trwaniu przy sztuce, jego walka z nędzą i zwycięstwa odnoszone nad nią, z tego źródła początek swój biorą. Z rozpaczą widział martwość, bierność, senny żywot Węgier, i chciał wzruszać, wstrząsać, powyrwywać za sobą, z pełności serca swego przelewać w inne żar, ogień, którym pałał. Uczucie, dla którego „zjadłe smakuja trucziny“ jemu dawało wśród chłodu i głodu filozofią życia wesołą. „Dobrze obmyślił Bogi, że zęby ludzkie z kości są a nie z żelaza, bo moje zardzewiałyby już dawno“, śpiewa sobie w izdebce, z widokiem na szubienicę, z zimnym piecem w miejsce stołu i biurka, bo dla niego nic to nie znaczy, jego dręczy i przybija tylko to niepowodzenie, które odbiera mu możność wyrażania się, a gdy to jest, wszystko już dla niego dobrze. Chwile rozkoszy i zabawy też ma, gdy litościwa jego gospodyni wpuści go darmo w jaki zakątek teatru, a siły mu pozwolą zająć do przyjaciela i gawędzić z nim, roić, planować, wzlatywać w siódme niebo nadziei na skrzydłach poezji własnej. A tymczasem zima minęła, choroba ustąpiła i nadchodziła wiosna: ptaki ciągnęły błękitami—i w jego piersi poczęła się wzruszać tęsknota przestrzeni, jakiej nie przedstawiał Debreczyn. Choć tu Pakh mógł mu łatwiej wyszukać jakieś miejsce, jakieś zajęcie grosz dające, on się już zatrzymać nie dał, pragnął wrócić do Pesztu, ale u skrzydeł orła wisi ciężar najcięższy z ciężkich: dług zaciągnięty u wdowy. Zapłacić go—żadnej możności, a ująć skrycie, potajemnie—nigdy! Ta to wielka aż do punktualności rzetelność w stosunkach pieniężnych, nie pozwala zaliczyć Petöfi'ego do cyganów artystycznych. Jego bieda, to nie lekkomyślność awanturicza, nie życie bez karności moralnej, tylko to coś, co w piersi mu mieszka i domaga się wyłonienia na słońce życia, na jasny dzień Boży, nie daje mu się zaprzęd do pluga pracy na chleb, na suknie, na dach wygodny. Ale nigdy nie chciał używać z cudzego mienia, żyć kosztem pracy innych, a już coś wydrwić, sztychając z ludzi cichego, niższego trudu, to już nigdy! Prosić, odwołać się do serca ludzkiego, zażądać od przyjaciela ofiary, wiary w jego uczciwość, to mógł i tak też zrobił w położeniu swem bez wyjścia. Pakh nigdy nie był w jego mieszkaniu, bo on zwykle do niego przychodził i raz też w ostatnich dnia Kwietnia przyszedł jak zwykle, ale choć zawsze wpadał tak, jakgdyby się paliło i Jokay z tego powodu nazywał go dzikim wiebrem, teraz wszedł powoli, spokojnie i stanął poważnie przed przyjacielem, pytając: czy wierzy w niego, w jego uczciwość? Odpowiedź była naturalnie:—wierzę... ale Petöfi potrząsa jeszcze głową.—Chodzi mi o taką wiarę, o takie zaufanie bez granic, które żadnego już powątpiewania nie przypuszcza—dodaje, a Pakh, coraz to więcej zadziwiony przysięga, on może mu natychmiast brać kapelusz, ujmuje go pod ramię i wiedzie przez coraz ciasniejsze, bru-

dniejsze zaułki, aż do domku Bordàs i tam każe mu się przy owym oryginalnym biurku swoim i pisać za jego dyktowaniem rewers, poręczający gospodyni dług stu pięćdziesięciu guldenów, zaciągnięty za mieszkanie, stół i wydatki, jakie choroba pociągała za sobą, a które Petöfi przyrzeka oddać za dni czterdzieści pięć. „Jeżeliby na ten termin nie zostały zwrócone, ja niżej podpisany obowiązuję się wypłacić je“... dyktował Petöfi i patrzył bystro na piszącego, ale Pakh, ani przytrzymał pióra, ani podniósł oczu na dyktującego i Petöfi skoczył mu też do szyi, gdy dokończył, bo Pakh nie był sam w świetnym położeniu. Wydawnictwo jego tylko że pokrywało koszta swoje, a pensya za nauczycielskie trudy, nie liczyła się na tysiące i sto pięćdziesiąt guldenów stanowiło trzecią część jego rocznego dochodu. Przecież ani się zawahał, pisząc poręczenie, które gospodyni przyjęła chętnie. Pochyłał się tylko przyjaciela litosciami: jakim sposobem spodziewa się w tak krótkim czasie, tyle pieniędzy zebrać? a on wyjął mu z tryumfem z pomiędzy papierów na piecu, gruby pakiet mniejszych i większych kartek papieru, owiniętych w bibułę i rzekł:

— Mam tu tyle napisanego...

Był to pierwszy zbiór jego pieśni, które po większej części stworzył wśród tej zimy nędzy i choroby, a które stanowiły skarb jego nadziei. Włożył go sobie zanadto, wziął z kąta kij tensam, z którym do Debreczyna przywędrował, i takim tylko zawiniątkiem obciążony, w którym było koszul parę, mając w kieszeni *dziesięć groszy węgierskich*, ruszył w drogę.

Pakh odprowadził go do Rogatek Peszteńskich, wzruszony żałością, niespokojny. Gdy idąc przez miasto, musieli przechodzić przez rynek, na którym było wiele ludzi z okolic bliższych i dalszych, z produktami żywności na targ przybyłych, jakaś poczciwa prosta dusza, widząc mizernego, ubogo odzianego młodzieńca z tłómaczem podróżnym na plecach, wpuściła mu tajemniczo sześć srebrnych cwancygierów do kieszeni.

Poszedł tedy w świat niepewnych losów z tym darem kosztownym najpiękniejszego miłosierdzia ludzkiego: miłosierdzia niebogatej, pracującej ciężko ręki, i z drugim niemniej drogim klejnotem, z zaufaniem przyjaciela, który przecież nie miał od niego długo wieści żadnej. Upłynął miesiąc, upłynęło już dni czterdzieści dwa, trzy, i nic, żadnej literki, żadnego słowa! Aż naraz, czterdziestego czwartego dnia, w samo południe, zjawił się kommissant od bankiera i złożył na stół 150 guldenów złotem!...

Na drugi dzień Pakh dostał od Petöfi'ego list wesoły, dowcipkujący, w którym jednak znajdowały się te wyrazy: „Gdyby mi było trzeba zebrać na kolanach od drzwi do drzwi, byłbyś niemniej miał pieniądze w czasie oznaczonym!“

Petöfi nie należał do bractwa cyganów!

Jak go Pakh kochał, a raczej jak kochał w nim poezję jego, dowodzi więcej jeszcze fakt zdarzony też w czasach tego pobytu Petöfi'ego w Debreczynie. Pakh pokazał mu raz piękną szarfę w kolorach węgierskich: białą, czerwoną i zieloną, którą ktoś miły dał mu w upominku, a której Petöfi pożałował i chciał ją przyjacielowi porwać parę razy, ale ten nie dał mu tego, co snadź było dlań pamiątką serdeczną. Petöfi jednak wstążkę wziął, gdy raz Pakha w domu nie było, i chcąc go podrażnić, zawiązał ją sobie koło kapelusza, ale przeliczył się z tym żartem swoim, bo obudził w przyjacielem gniew i dostał list pełen wyrzutów za niedelikatność, gdyż w dodatku zajęty swoim figle, zostawił Petöfi, wychodząc, otwartą szufladę biurka, w której były ważne, a nie dla każdego oka przeznaczone, papiery. Petöfi, namiętny we wszystkim, zamiast winę uznać, uniósł się gorąco i w tem uniesieniu napisał wiersz ognisty, zaczynający się od słów: — „Bóg z tobą niewierny przyjacielem! na wór wściekłego psa, ugryzłeś mnie w serce samo...“ Ale roznamiętnienie gniewne trwało u obydwóch dzień tylko; nazajutrz Petöfi przyszedł pierwszy do Pakha, ten go schwycił w objęcia, przebaczone sobie wzajem, ale istniał wiersz, który poeta, śmiejąc się teraz, przeczytał, aby go podrzeć w kawałki, ale Pakh nie dopuścił tego. Był tak piękny, tak gorący i pyszny w wyrazie uczuć, które przedstawiał, że nie

godziło się skazać go na zagładę. Pakh go porwał, włożył natychmiast w kopertę i własną ręką adres na niej położywszy, posłał wiersz do *Ateneum*. Jokay, przytaczając anegdotę, ostrzega komentatorów Petöfi'ego, aby w tym wierszu burzliwie namiętnym, nie podejrzewali kiedy takiej tragedii, jak wydarcie kochanki, wykradzenie skarbu. Petöfi'ego wadą była krew, nawet na Madziara za gorąca, nad którą nie panował i raz w skutek małego zajścia, napisał on do Jokay'a list z adresem: — „Panu Maurycem Jokay'owi, nieszlachetnie urodzonemu“ (w miejsce *szlachetnie*) list sam był podpisany: „Bez najmniejszego szacunku...“

Przebaczone mu przecież, bo kochano go.

Istniał jeden tylko przyjaciel Petöfi'ego, na którego poeta nigdy się nie rozgniewał, który go nigdy do rozżalenia się nie przywiódł: adwokat Varády. Jego poznanie się z Petöfim, łączy się ściśle z ową smutną odyseją biedaka, gdy z paczką wierszy zanadto i dwiema koszulami pod pachą wszedł do Pesztu, kędy już nie miał nikogo, pod którego drzwi-by się przywłókł, gdyby, jak niegdyś, czuł się umierającym. Nikogo z przyjaciół, nikogo nawet ze znajomych, prócz chyba między sztychającymi z niego, nierozumiejącymi go aktorami. Miał w kieszeni jednego już tylko cwancygiara a przed sobą wielkie miasto, las domów i ulice rojące się ludźmi, których własny interes pędził przed siebie, którzy za obcym wół nędzarzem nie obejrżeli się nawet. Do kogo przystąpić, w którą stronę się obrócić — na prawo czy na lewo?

Ale był starzec szlachetny, ku któremu każda młodość z nadzieją jakaś w piersi, a szczególnie każdy talent literacki mógł przystąpić śmiało, rady, wskazówki szukając. Michał Vörösmarty, redaktor *Ateneum*, który pierwszy na wartości Petöfi'ego się poznał i stał mu się drogą do sławy otwartą, drukując pierwszy wiersz jego, prawie że dziecinny, w *Ateneum*. Odpocząwszy więc nieco gdzieś na kamieniu, otrząsnawszy potem pył podróżny z ubożego odzienia, umywszy pod studnią twarz i ręce, do niego Petöfi się zwrócił, został przyjęty dobroliwie i pocieszony obietnicą, że będzie wydawcy na poezje jego szukał. Vörösmarty, który był zawsze zamożnym, który wreszcie był już w wieku, rzadko kiedy gorące porywy uczucia po ochłodzeniu próbami życia w piersi ludzkiej zostawiającym, nie zapytał przytem biednego młodzieńca o jego położenie w chwili bieżącej i Petöfi wyszedł od niego, aby zapuścić się znowu w ruchliwy Babel miasta z cwancygiarem w kieszeni. Wyniósł przecież ze sobą trochę nadziei, a jest to potężna siła pomocy dla tych, co walczyć muszą.

W Peszcie istniał wtedy klub złożony z literatów, prawników, lekarzy i w ogóle ludzi inteligencji wszelkiego stanu, niedosć dobrych jednak, aby szlacheckie kassyno otworzyć im chciało podwoje drzwi swoich. W klubie tym, który nosił nazwę „Nemzeti Kör“ czyli „Narodowe koło“, Vörösmarty bywał niekiedy, i gdy w kilka dni po widzeniu się z nim pierwszym, Petöfi przyszedł po wiadomość: jak stoi jego sprawa? Vörösmarty zalecił mu, aby dla ułatwienia interesu, poezje swoje dał poznać kilku ludziom wpływowym w kołach inteligencji stołecznej. Wymienił mu w tym celu nazwisko jednego z uczonych prawników, adwokata, któremu radził dać rękopismo do przeczytania. Nie powiedział nic więcej nadto, nie dodał, że wydawcy ruszają ramionami na rzucaną im myśl wydania poezji małożnanego, prowincjonalnego poety, ex-aktora i że on, tracąc nadzieję, zali znajdzie chętnego, postanowił zwrócić się z propozycją nakładu do „Nemzeti Kör“: bo czyż nie jest pierwszym zadaniem inteligencji każdego kraju, aby młodym talentem z pomocą przychodziła? Chciał Vörösmarty w członkach klubu stronników dla myśli swojej zyskiwać i jednemu z pomiędzy nich, wymownemu adwokatowi, poufnie o Petöfim mówił, a teraz jemu radził odwiedzić go i poezje swoje dać do przejrzania.

Adwokat Varády, wtedy sekretarz *Narodowego koła*, wszedłszy raz do kancelaryi kolegi, dla jakiejś prawnej narady, zastał go z podziwieniem czytającego wiersze z grubego manuskryptu, gdy jakiś bardzo błądy, bardzo mizerny młodzieniec, w oryginalnym płaszczku z wielkim kołnierzem,



pod oknem siedział. Czytający poprosił kolegę, aby chwilę poczekał i czy po papierze wodził, charakterystycznie się krzywiąc razporaz, bo trafiał wciąż na humorystyczne, i jak sądził, za mało dystyngowane utwory, gdy naraz obrócił się do gościa i zawołał: — Słuchaj-no, kolego....

Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Listopadzie 1882 r.

Minęły wybory, epoka pełna u nas gorączkowego ruchu i natężenia, a mimo rozwiniętej agitacji wypadły one niezbyt pomyślnie. Na dwudziestu dziewięciu posłów wysyłanych do Berlina Poznańskiego przypadnie w tej kadencji sejmowej piętnastu Niemców, a czternastu zaledwie Polaków. Liczebną posiadając większość głosów, podobny rezultat przypisać musimy jedynie tendencyjnemu ustanowieniu okręgów wyborczych, oraz naciskowi wywieranemu zbyt często na podwładnych, przez większych właścicieli niemieckich, których zastęp, niestety! wciąż rośnie. Frakcja Polska w Sejmie Berlińskim, obejmująca mandataryszów z Poznańskiego i Prus Zachodnich, liczyć tedy będzie osmnastu tylko członków; że jednak bywały już lata, w których nasza reprezentacja spadała na piętnastu posłów, aby się znów podnieść: tegoroczny zawód nie pograżył nas w zwątpieniu, zwłaszcza iż nauki doświadczenia nie będą stracone i spodziewać się można lepszego rezultatu przy pierwszej sposobności.

Co w tym kierunku smutne robi wrażenie, to rychłe zniechęcenie, jakie ogarnia naszych posłów, po kilkoletnim udziale w pracach sejmowych. Zaledwie nabiorą oni lepszej znajomości położenia i parlamentarnej rutyny, schodzą z pola działań, aby wrócić do życia prywatnego i dać się zastąpić przez nowych zapaśników. I teraz także sześciu deputowanych ustąpiło; miejmy nadzieję, że tylko chwilowo, pięciu zaś nowych szermierzy witamy po raz pierwszy w kole polskiem. Jeden z nich, x. Zientkiewicz, już raz posłował; inni, pp. Ignacy Zakrzewski, Dr Leon Mukułowski, H. Dobrzycki i Fr. Brzeski, poraz pierwszy wstępują w szranki ciężkiego w obecnych warunkach zawodu.

W tej chwili dwudziesty drugi z kolei sejm prowincjonalny, zwołany pod laską barona Unruha Bomst, obraduje w Poznaniu, nad wewnętrznymi sprawami naszej prowincji. Sprawy te, pod względem materyjalnym przedstawiają się w sprawozdaniach urzędowych, bardzo świetnie. Komunikacje mianowicie corazbardziej ułatwiane bywają, przy rosnącej liczbie dróg żelaznych, kolei drugorzędnych i żwirówek, których prawdziwa sieć ogarnia powoli całe nasze księstwo. Rosnąca ilość fabryk daje pochop tym robotom około dróg publicznych, co krajowi nadaje pozory rozwiniętej cywilizacji.

W dniu 8 bieżącego miesiąca nastąpi, oddawna zapowiadane a dotąd zwlekane, uroczyste otwarcie gmachów muzealnych Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Spodziewać się należy wielkiego udziału członków, zwabionych nietylko interesem dla instytucji, ale i zapowiedzianymi z tej okazji przemowami prezesa i wice-prezesa, odczytem hr. Wawrzyńca Benzelstjerna Engeströma, oraz ogólnym poglądem na obecny stan galerii, biblioteki i zbiorów, ułożonym przez konserwatora tych skarbów. Tenże konserwator, p. Klemens Kantecki, świeżo wypełnił pierwsze, po letnich wakacjach, posiedzenie wydziału historyczno-literackiego, zajmującą prelekcją *O Jerzym Flemingu*, Podskarbin Litewskim. Postać ta u nas dotąd bardziej z powieści p. Kraszewskiego, niż ze studjów ściśle historycznych była znana. P. Kantecki na tle stosunków krajowych XVIII wieku przedstawił nam typ oryginalny młodego Sasa, który, swabiony powodzeniem spółplemieńców, osiedla się w Polsce i

zrećnie przewodnie sobie zdobywa stanowisko. Pokorny zrazu i giętki, Fleming folguje wrodzonej popędliwości, jaktylko ambicya jego zaspokojoną została. Królowi samemu gotów on stawić opór, chociaż wszystko jego łascie zawdzięcza; przed jednym tylko teściem, ks. Kanclerzem Czartoryskim, zachowuje winny szacunek i korzy się przed jego wyższością. P. Kantecki na podstawie nieznanych listów przedstawił starcie Fleminga z wszechwładnym Brühlem i Augustem III o Starostwo Mereckie. Fleming snadź nie zapomniał o sobie, uganiał się za królewskimi. Wszelako, chociaż cudzoziemiec, mimo wad niezaprzeczonych, służył w różnych okolicznościach, przybranej ojczyźnie swojej. Do barwnego obrazu, jaki nam dał p. Kantecki, śmiem tu dorzucić rys poufniejszej natury, a nieraz opowiadany przez ks. Generałową Ziem Podolskich, córkę Fleminga, która w późniejszej starości przywoziła rysy surowości ojcowskiej. — I tak pewnego dnia, młodziuchna Izabella, odwiedzwszy sąsiadkę cierpiącą na fluxyę, znalazła, iż nic bardziej do twarzy być nie może nad lekkie owinięcie głowy powiewnym szalikiem. Otula się tedy w niebieską szarfę, która jak wraz podnosi świetność jej śnieżnej cery, gdy w tem ojciec się zjawia i pyta surowo: co ten strój znaczy? Panienska, wystraszona, tłumaczy się zmyślonym napręde bólem zębów; Fleming, niewiele pytając, wiezie ją do doktora, a ta, raczej aniżeli-by miała się przyznać srogiemu ojcu do wykretu, daje sobie wyrwać ząb całkiem zdrowy i bez jednej lzy bolesną wytrzymuje operację. Można jednak przypuścić, iż po takiej próbie odechciało jej się drapować w osłony, wystawiające ją na podobne przeprawy.

Zaczyna się już w naszym księstwie doroczny ruch myśliwski, stale znaczący późną jesienią szeregiem świetnych łowów. Nemrodów nie brak w kraju naszym, a ściągają oni z różnych stron o tej porze na nasze równiny, co przelotnie ożywia i towarzyskie u nas stosunki. Finansowe kłopoty teatru poznańskiego są także powodem i pobudką do rozbudzenia zamarłego w naszej dzielnicy życia towarzyskiego. Chociaż groszowemi datkami, zebrano już około 30,000 grzywien na fundusz żelazny, subwencya ta rośnie wciąż przeróżnymi środkami amatorskich przedstawień, balów składkowych i t. p. Podobno wyłączone zajmowanie się tą sprawą przynosi uszczerbek innym instytucjom, wymagającym niemiejszej ofiarności. Cokolwiekbądź, rodzaj jesiennego karnawału ożywia w tej chwili różne punkta naszej dzielnicy, a zkadinał uroczystości rodzinne poważniejsze gromadzą koła w progi powszechnie szanowanych domów. Śluby nowożeńców i srebrne wesela rodziców, naprzemian obchodzone, nawiązują młode szczęścia z utrwalonemi pamiątkami ćwierćwiekowej harmonii domowej. Jedną z takich uroczystości, bliżej nasze księstwo obchodząca, odbyła się niedawno w dalekiej Litwie, w Radziwiłłowskiej stolicy, książęcym Nieświeżu. Książę generał Antoni Radziwiłł obchodził tam dwudziestopięcioletnią rocznicę swego ślubu z hr. Maryą Castellane. Liczne grono krewnych i przyjaciół otoczyło w tym dniu dostojną parę, a osamotnione mury starego zamku odżyły przelotnie odnowieniem dawnego życia i zabaw. Świetne wieczorne zebrania ożywiły się przedstawieniem obrazów żywych, mistrzowską układanych ręką. A i zdawało się brakło życzeń i powinszowań, słanych drogą pocztową i telegraficzną. Osobny kuryer gabinetowy zawiózł do Nieświeża podarki dla jubilatów od cesarza Wilhelma, który wyjątkową zaszczyca życzliwością swego ulubionego adjutanta i krewnego. Księżna Antoniova Radziwiłłowa, aczkolwiek Francuzka, żywo pojmuje swe rodowe zobowiązania i przejęta jest czią dla wspomnień historycznych i przeszłości domu Radziwiłłowskiego. Z wielką też znajomością rzeczy i prawdziwym artyzmem zajmuje się ona dzwignięciem i zachowaniem Nieświeżkiego Zamku, który pod jej ręką odzyskuje dawną świetność i pamiątki umiejętnie gromadzone.

Z nadejściem zimy mnożą się kwestye, które, powołane do życia przez kilka pracowitych miesięcy nie przestaną zajmować poważniejszych umysłów. Jedną z takich spraw, zasługujących na ogólną uwagę, jest bezwątpienia poruszona w tej chwili

kwestya odrodzenia muzyki kościelnej między nami. Zaiste, czas było o tem pomyśleć, zważywszy na niezgodę i światowość dźwięków zakłócających powagę religijnych po naszych kościołach obrzędów. Kardynał Ledóchowski pierwszą na tem polu usiłował zaprowadzić reformę, wypierając z chórów kościelnych głosy niewieście, które nadają coś teatralnego śpiewom religijnym. Ale był to zaledwie pierwszy krok na drodze odrodzenia, którego teraz w zupełności spodziewać nam się trzeba. Dyrekcyą muzyki archikatedralnej w Poznaniu powierzono niedawno młodemu kapłanowi, zaprawionemu na najlepszych wzorach, x. Dr. Suszyńskiemu, który postanowił w duchu czysto kościelnym i ściśle artystycznym zarazem, stanowczą przeprowadzić reformę.

W całym dziś świecie objawia się prąd zmierzający do renowacji muzyki kościelnej, wszędzie w tym celu zawiązują się odpowiednie stowarzyszenia. *Scuola Gregoriana* w Rzymie przoduje tym usiłowaniam; towarzystwa św. Cecylii w Niemczech, św. Grzegorza w Belgii, św. Wojciecha w Czechach jednaki sobie cel wytknęły, powrotu do czystych praw i prawideł śpiewu kościelnego. A u nas, gdzie ten śpiew najniżej upadł mimo zabobu cudnych pieśni, które tu nie wchodzą w rachubę, czyż nic się nie da zrobić? Pieśni kościelne, przez lud śpiewane, zachowały swój wzniosły charakter, ale natomiast chórowa muzyka zeszała do ostatnich szczebli zepsucia smaku i obłąkania artystycznego pojęcia. Znawcy i czciciele piękna oddawna ubolewali nad tym stanem rzeczy, nie umiano jednak znaleźć drogi wyjścia, ani skutecznej rady. Ks. Suszyński dał hasło wspólnych w tej mierze usiłowań. Spróbowałszy zrazu sił własnych i miejscowych przez utworzenie chórów, które wykonywały znane arcydzieła mistrzów podczas nabożeństw archikatedralnych, zbudziwszy zamiłowanie czystszych natchnień i harmonii w niektórych kołach, odezwał się do ogółu publiczności, wzywając do udziału w zebraniu naznaczonym na dzień 4 Października b. r. Sala pałacu hr. Działyńskiej, otwierająca się wyłącznie dla spraw wyższych i szerszych, a zamknięta od pół wieku dla światowej wrzawy, i tym razem rozwarła swe podwoje przed obradującymi nad poprawą muzyki kościelnej w naszej dzielnicy. Zgromadzenie postanowiło zawiązać rodzaj stowarzyszenia na wzór towarzystwa organistów, któremu we Lwowie przewodniczy x. Solecki, oraz pracować nad szerzeniem znajomości śpiewu gregoryańskiego i upowszechnieniem arcydzieł mistrzów, w miejsce światowych naleciałości i pospolitych nieraz utworów. Inicyator tego pięknego ruchu opowiedział pokrótce historią śpiewu kościelnego, sięgając początków chrześcijaństwa i samychże katekumb, według społecznego autora, Filona, który, opisując nabożeństwa ojców naszych w wierze, nie pomija i ówczesnej muzyki religijnej. Papież Grzegorz nie stworzył prawideł śpiewu gregoryańskiego, ale uzupełnił i prawami określił istniejący. Arcydzieła Palestriny najwyższym są kwiatem czystego natchnienia religijnego. Zaprawienie się więc na nieśmiertelnych wzorach i poniekąd niebu wykradzionych dźwiękach, ma być zadaniem dbałych o chwałę Bożą i tradycją piękna miłośników muzyki kościelnej. Dla poparcia swego twierdzenia i wymownych słów swoich, ks. Suszyński zrana podczas uroczystej mszy św. kierował wykonaniem mistrzowskich utworów, z których zwłaszcza Introit gregoryański ogólny w słuchaczach wzbudził podziw. Wieczorne zaś posiedzenie urozmaicone zostało śpiewami, wykonanemi bardzo pięknie przez chór archikatedralny. Usłyszeliśmy między innymi wspaniałe: „Adoramus te Christe“ Palestriny, a jakby dla wskazania, że i Polska umiała dobrać szczytnych dźwięków, gdy chodziło o chwałę Bożą, zabrzmiała pieśń historyczna: *Boga rodzica*, której zatraconą ogólnie nutę przechowano w cieniu grobu św. Wojciecha; pod stopami archikatedry Gnieźnieńskiej, gdzie rozbrzmiewa codziennie, obwarowana warunkami pobożnej, a zobowiązującej fundacji. Do tej przesławnej nuty o dziejowym znaczeniu i doniosłości, ks. Suszyński dodał inny jeszcze utwór polskiej sztuki: Pieśń kościelną Wacława Szamotulskiego z XVI wieku, do słów A. Trzycieskiego. Pieśń ta, nieznaną a uderzającą, wielkie wywarła wrażenie.



Oczywiście, nie mieliśmy takich mistrzów kościelnej muzyki, jakimi się szczył słusznie Włochy i Niemcy. Szowinizmu ani wyłączności w sztuce nie przypuszczamy, ale witamy z zajęciem próbki rodzimego natchnienia, i ks. Suszyński słusznie obok gregoriańskich pieśni wznosił i utwór Szamotulskiego. Historia sztuki zyskuje wiele na podobnych wygrzebywaniach z popiołów zamarych dźwięków. Już przed kilkoma laty w Krakowie amatorowie odświeżyli kilka zapomnianych utworów polskiej szkoły, sięgając Zygmunto-wskich czasów i pieśni Łukasza Gomółki. Obecnie księżna Marcellina Czartoryska przysposabia dwa koncerty historyczne, odbyć się mające podczas zimy we Lwowie. Pieśń Szamotulskiego będzie nowym przyczynkiem do tych poszukiwań estetyczno-archeologicznych.

Wracając do zadania podjętego przez xiędza Suszyńskiego, życzymy mu z całego serca powodzenia, na które zasługuje ze względu na cel tak piękny, równie jak i na gorliwość jego zachodów i dobrze pojętego trudu. Wszyscy też prawdziwi miłośnicy pięknej muzyki podzielają jego zapatrywania się na kwestyę reformy śpiewu kościelnego i przyklaskują zamiarom w tym kierunku.

Nowych książek dotąd nie wiele się zapowiada. Żupański wydał świeżo pamiętniki warszawskiego szewca i bohatera, Jana Kilińskiego, z piękną ryciną Juliusza Kossaka. Wydawnictwo korespondencyj dowcipnej pani Kossakowskiej, Kasztelanowej Kamińskiej, rozszerzy się zapewne mnogimi listami tej pani, które przypadkiem odnalezioniem zostały pod strychem pewnego znacznego w Krakowskim pałacu. Nowy Rok już za pasem: a więc i niezawodne żniwo bibliograficzne, z którego nie omieszkam najpierwszego dostarczyć wam plonu.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Kronika bieżąca.

Karmienie niemowląt mlekiem oślim. Wykarmienie dzieci podrzutków w Paryżu, niemniej kłopotliwym, jak u nas, jest zadaniem. Dobre i troskliwe mamki najemne są tam również rzadkie. Z drugiej znowu strony, znaczna liczba biednych podrzutków przychodzi na świat z chorobami zaraźliwymi, niedozwalającymi karmić ich piersią kobiecą, bez narażenia na szwank zdrowia samej-że mamki. Dzieci podobne musiano tedy z konieczności karmić sztucznie, zapomocą smoczka. Metoda ta jednak najsmutniejsze wydawała rezultaty, bo niemowlęta znękała już i wynędzniona wrodzoną chorobą, umierały prawie wszystkie. Wobec stanu takiego, p. Parrot, naczelny lekarz domu podrzutków, wpadł na myśl przysadzania dzieci wprost do wymienia zwierząt mlecznych, co się już praktykuje od roku. Pomimo mniej fortunnych warunków, nieodłącznych przy pierwszych próbach, śmiertelność niemowląt jednakże znacznie się zmniejszyła. Z początku mamkami ich były kozy—niebawem jednakże spostrzeżono, że mleko oślic daleko jest odpowiedniejszym. Obecnie, dzieci karmione są wyłącznie tem ostatniem, przez przystawianie ich bezpośrednio do wymienia zwierzęcia. Posługaczki podtrzymują niemowlę, dopóki się nie nassie. Rezultaty porównawcze rozmaitych sposobów karmienia przedstawione w ostatnich czasach Akademii Lekarskiej przez p. Parrot, najlepiej przemawiają za ich względną wartością. Wciągu sześciu miesięcy dziewięćdziesiąt niemowląt dotkniętych chorobami zaraźliwymi wrodzonymi, karmiono sztucznie. Z sześciu karmionych mlekiem krowim, zapomocą smoczka, ocalało jedno tylko. Czterdzieści dwoje dzieci karmiono wymieniem kóz; z tych ośmiu wyzdrowiało a trzydzieści dwoje zmarło. Z trzydziestu ośmiorga nakoniec dzieci, karmionych u wymienia oślic, dwadzieścia ośm wyzdrowiało, a dziesięcioro tylko zmarło.

Wobec podobnych faktów lekarze paryzcy są zdania, że w razie niemożności karmienia niemowlęcia przez mamkę dla jakichkolwiek powodów,

najlepiej jest karmić je przez przysadzanie bezpośrednio do wymienia oślicy, której mleko okazuje się najstrawniejszem dla słabego dziecięcego żołądka. Zresztą, oślica, jak wiadomo, poprzestaje na najprostszym paszy, którą się ani krowa, ani koza nie zadawalniały.

Fakta te zasługują na poważną uwagę lekarzy i filantropów, opiekujących się smutnym losem biednych podrzutków, których obecnie liczba wciąż się powiększa w postępowem społeczeństwie tegoczesnem.

Podróżniczka afrykańska. Tajemnicie wnętrza kontynentu afrykańskiego wciąż posiadają urok nieprzemyślany, pomimo wszelkich trudów i niebezpieczeństw, grożących tam na każdym kroku śmiałemu podróżnikowi, który kusi się o uchylenie kryjącej je zasłony. I nietylko mężczyźni odważają się wkraczać zuchwale w głąbie dzikich i nieznanych krain środkowej Afryki. Od czasu do czasu zjawia się też dzielna i odważna kobieta, która nie bacząc na węższość w porównaniu z męzkim ustrój swój fizyczny, śpieszy pełna zapału między srogie murzyńskie plemiona. Na podobną podróż wybrała się w ostatnich czasach z Petersburga pani Gonczarow. Bliżsi jej znajomi, wśród których znalazło się wielu członków miejscowego Towarzystwa Geograficznego, wyprawili dla niej pożegnalną ucztę w Pawłowsku. Odważna turystka zabrała z sobą fotografa i służącego Murzyna.

Pomnik Kolumbowi. Przed kilkoma tygodniami w Barcelonie położono kamień węgielny pod pomnik, mający być wzniesiony na cześć Krzysztofa Kolumba, odkrywcy Nowego Świata. Wiadomo, że kilka miast, a między innymi i Genua chlubią się zaszczytem, że w nich słynny ten żeglarz ujrzał światło dzienne. To też magistrat genuński nie omieszkiał wysłać odpowiedniej delegacji na tę uroczystość. Dobrze, że choć teraz Hiszpanie przypomnieli sobie o długu wdzięczności dla człowieka, któremu tyle mieli do zawdzięczenia, a z którym przy schyłku jego życia, nietylko że najniesprawiedliwiej się obchodzono, ale i po zgonie zapomniano do tego stopnia, że obecnie wiadomo nawet na pewno, gdzie prochy jego spoczywają.

Pszczoły. Pomimo powszechnej znajomości obyczajów użytecznych tych owadów, krążą jednakże o nich pewne, nieuzasadnione mniemania. Tak naprzykład, ogólnem jest zdanie, że pszczoły obsiadają namiętne winogrona i inne słodkie owoce, karmią się chciwie ich sokami, a przeto niszczą je na krzakach. Otóż gorliwy badacz amerykański, p. Robertson, na podstawie doświadczeń swoich, ogłasza w jednym z tamtejszych dzienników naukowych obronę niesłusznie pomawianych o rabunek pracownic. Porozkładał on w pasiece słodkie grona winne, świeżo ze szczeperów zerwane i bacznie całymi dniami śledził zachowania się pszczoł wobec ponętnego owocu. Ani jedna wszelako skusiła się nim nie dała. Po kilku dniach podał im nowe grona, z ponakułwanemi tą razą niektórymi ziarnkami. Pszczoły natychmiast do nich się zbiegły i sącając sokiem ziarnka wypily do suchości, nie tykając bynajmniej całych. Robiąc dalsze doświadczenia p. Robertson przekonał się, że pszczoły rzucają się jedynie na owoce napoczęte przez inne owady, ptaki, lub też zgniecione i przechodzące w zgniliznę. Tym więc sposobem istotną raczej wyrządzają nam one przysługę, bo przerabiają na miód soki cukrowe owoców, którym inaczej rychła zagrażałaby zgnilizna.

Inny znowu uczony, pan Vogel z Monachium, zwraca uwagę na identyczność skutków ukąszenia pszczoły lub osy z oparzeniem od pokrzywy. Identyczność ta polega na wspólnym w obu razach pierwiastku drażniącym skórę. Tak w żądle pszczoły, jak i w parzącym włosku pokrzywy, istnieje jedna i tażsama chemiczna ciecz, a mianowicie, kwas mrówkowy. Kwas ten u pszczoł stanowi nietylko pierwiastek obronny, ale jest zarazem środkiem chroniącym miód od fermentacji. Według twierdzenia naturalisty Holtza, zło i zjadliwe pszczoły nie są bynajmniej do pogardzenia. Ilekroć bowiem pszczoła w złość wpada, zawsze wpuszcza do miodu maluchną kropelkę kwasu mrówkowego, a to czyni go trwalszym i smaczniejszym.

Tunel kaletański Wiadomo zapewne czytelnikom naszym, że jednym z najpoważniejszych zadań tegoczesnej techniki inżynierskiej, miało być przekopanie kanału podmorskiego pod Cieśniną Kaletańską, przez którą kolej żelazna łączyła bezpośrednio Francją z Anglią. Przedsięwzięcie to pod bardzo fortuną rozwijało się wróżbą i z obu brzegów, francuzkiego i angielskiego zaczęto już przebijać galerye pod morzem. Niedawno temu rząd angielski stanowczo wystąpił przeciwko dalszemu prowadzeniu robót, które też zawieszono zostały. Powodem ma być obawa rzekomego najazdu tą drogą, Anglii przez Francuzów. Istotnym wszelako powodem zdaje się być raczej obawa szkód, jakie mogłaby ponieść marynarka handlowa angielska, gdyby handel międzynarodowy obrał sobie tunel za główną drogę przewozową.

Leczenie oparzelizny. Dzienniki lekarskie angielskie powtórzyły niedawno zdanie doktora Troickiego, ogłoszone w dziennikach lekarskich rossyjskich, a popierające skuteczność dwuwęglanu sodu, czyli zwyczajnej sody handlowej, w leczeniu oparzelizny. Doktor Troicki opowiada, że w ciągu 1880 r. miał w praktyce swojej dwadzieścia pięć po większej części ciężkich wypadków oparzenia. Szesnaście z nich nastąpiło przy pożarze wsi, kiedy mieszkańcy ratując mienie swoje, rzucali się w ogień z narażeniem. U wszystkich oparzonych używał wyłącznie dwuwęglanu sodu, a wypadki miał tak pomyślne, że środka tego jako najskuteczniejszego nie waha się zalecać na oparzenia wszelkiego rodzaju i stopnia. Przy ciężkich i obszernych nawet obrażeniach, ból łagodzony był szybko od przykładania płatków maczanych w roztworze dwuwęglanu sodu. Rany szybko się goiły i pokrywały niewielkimi strupami, przy czem nie zauważano żadnego szkodliwego wpływu na organizm, jaki przypuszczałyby można od wessania przez krew znacznej ilości kwasu węglanowego z dwuwęglanu sodu. Przy stosowaniu tego środka, autor rozróżnia trzy metody, a mianowicie: posypywanie oparzonych części proszkiem dwuwęglanu sodu; obwijanie ich w lniane płatki zmoczone w roztworze jednej części tej soli w pięćdziesięciu częściach wody i zmienianie ciągle mokrych, w miarę wysychania; wreszcie trzymanie ciągle podobnychże płatków, bez zdejmowania ich z miejsc oparzonych i polewanie ich tylko roztworem zwierchu. Pierwszy sposób wystarcza jedynie przy lekkich oparzeniach. Zmienianie mokrych płatków zasługuje głównie na zalecenie w razie obszernych ran, mocno ropiejących, przy starannem obmywaniu ropy, zbierającej się pod wyschlłym płatkami, aby do krwi wysysanej nie była. Polewanie nieodejmowanych płatków zaleca się w takim razie, kiedy odejmowanie ich wywołuje drażnienie rany i zwiększa ropienie. Korzystny wpływ roztworu sody na oparzeliznę, przypisuje Dr Troicki znieczulającemu i przeciwnielemu wpływowi, wynikającemu wskutek łatwego i szybkiego wydzielania się kwasu węglanowego przy rozkładzie stosowanej na ranę soli. Podobne doświadczenia autor robił i z innymi przeciwnielemnymi środkami, żaden z nich jednak nie okazał się tyle skutecznym, jak soda.

Chemik Wöhler. Jeden z najznakomitszych współczesnych uczonych, professor chemii w Uniwersytecie gettyngenskim, Wöhler, zmarł tamże przed kilkoma tygodniami. Urodzony w 1800 r., był uczniem ulubionym słynnego szwedzkiego chemika Berzeliusa, który w swoim czasie największy wpływ wywarł na rozwój chemii, mianowicie ciał i związków nieorganicznych. Główną zasługą Wöhlera było wytworzenie poraz pierwszy sztucznym sposobem jednego ze związków organicznych (mocznika), kiedy do jego czasów utrzymywano ogólnie, że wszelkie ciała organiczne w żywych organizmach wytwarzane, pod wpływem jedynie siły życiowej powstawać mogą. Jemu też zawdzięczamy odkrycie ważnego metalu *glinu* (aluminium), który dziś wieloliczne ma zastosowania w przemyśle, dzięki metodzie łatwego otrzymywania go z gliny zwyczajnej, podanej przez niedawno również zmarłego francuzkiego chemika, Henryka Saint-Claire Deville'a.



## Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Październiku 1882 r.

Matejko we Lwowie. — P. Merwart. — Kupno obrazu. — Stypendyum krajowe imienia Matejki. — *Wzory przemysłu domowego*, zeszyt V i VI. — *Pogadanki o ludzie wiejskim i miejskim*, przez x. Jana Siemieńskiego. — Kalendarze. — W wdawnictwa księgarni Łukaszczyca. Belletrystyka. — *Pieśni z lat młodych i pieśni starca*, Jana Siemieńskiego. — Wydawnictwo dzieł ludowych. — *Ziarno*. — Teatr.

(Dalszy ciąg).

Księgarnia Łukaszczyca, najmłodsza pomiędzy lwowskimi, a bardzo ruchliwa na polu wydawnictwem, uprawia przeważnie belletrystykę, godzącą do smaku szerokiej kół publiczności, uważając ten rodzaj literatury za najpożądniejszy. Skutkiem też tej pożądaności, tego uroku, jaki belletrystyka zawsze jeszcze posiada i posiadać będzie, dopóki nie wyschną źródła twórczej fantazy powieściarzy, a społeczeństwo nie przestanie dostarczać im zajmujących motywów i dramatycznych kolizyj: — belletrystyka ta zajmuje ważne stanowisko w literaturze, a chodzi tylko o dobry wybór rzeczy, których nakład się przedsięwzięje. Obowiązki i odpowiedzialność moralna wydawcy jest tu o wiele większą, niż przy wszystkich innych, jakiegokolwiek rodzaju, wydawnictwach. Również bowiem łatwo, jak ziarno zdrowej myśli i szlachetnego uczucia, przyjmuje się w umyśle czytelnika i jad zepsucia w pożątej formie powieści podany, tem niebezpieczniejszy, że wsiąka niezauważnie, bezwiednie i krzewi się szeroko, bo ostatecznie powieść zawsze więcej znajduje czytelników, niż każda inna, jakkolwiek książka. Pod tym względem należy oddać sprawiedliwość nakładom księgarni Łukaszczyca, iż stara się ona o dobry wybór, a główną jej dążnością jest: obznajamiać polską publiczność z wybitniejszymi utworami powieściopisarstwa zagranicznego, mniej u nas znanego, niż francuzka. W ogólnym tym zbiorze, wydawanym pod tytułem: *Biblioteki nowości*, doprowadzonym już do trzydziestu kilku tomów, obok utworów oryginalnych, znajdujemy po większej części takie, dobrze dobrane przekłady dzieł obcych, które wprawdzie na gruncie swym rodzimym dawniej już się ukazały, ale dla nas są nowością i mają wszelkie prawo, jako takie, mieścić się w „Bibliotece“ tegoż nazwiska, jak naprzykład tłumaczone z węgierskiego powieści Jokay'a. Jego czterotomowa powieść *Z Bożej woli*, umieszczona w najnowszej seryi *Biblioteki nowości*, zasługuje przed innymi na uwagę, ze względu na charakterystyczne zalety pisarza. W powieściach Jokay'a odślaniają się typowe rysy społeczeństwa zupełnie nowego dla nas, które, pomimo blizkiego z nami sąsiedztwa, tak odrębną posiada fizioznomią od społeczeństwa naszego, że było dla nas dotychczas prawdziwym „światem za górami“.

Obok powieści Jokay'a znajdujemy w tegorocznej seryi *Biblioteki Verne'a Dom parowy, podróz po Indyach północnych*. Verne a Jokay to pisarze zupełnie odmiennego typu. Podczas gdy powieściopisarz węgierski fotografuje częstokroć bardzo szczęśliwie, Verne z żywością i rzutkością fantazy francuzkiej usiłuje stworzyć nowy rodzaj, powieści fantastyczno-naukowej, a pomimo całej wziętości, do jakiej doszedł, powieści jego nie osiągnęły zamierzonego celu popularyzowania umiejętności, z tego powodu, że z samej już natury rzeczy ścisłość rozumowania i badanie umiejętnie na polu doświadczalnym nie godzi się ze światami zmyślnych fantasmagoryj, na których tle Verne dla rozbudzenia ciekawości czytelników podaje swe tezy i wiadomości naukowe. W powieściach Verne'a zaciera się granica pomiędzy ścisłością naukową a zmyśleniem powieściopisarzkim, z uszczerbkiem stron obu, i potrzeba było tak pożądanego i oryginalnego talentu, aby je sprzedać dowolnie w sposób, jak to on uczynił. Ale nie uznawalibyśmy za rzecz pożądaną, aby ten, wprowadzony przezeń, rodzaj powieści znalazł na-

śladowców, gdyż w szerzeniu tym sposobem wiadomości naukowych, widzimy więcej niebezpieczeństwa niedokładności i chaotyczności, niżeli istotnego pożytku. Powieść osnuta na tle rzeczywistego życia, z szlachetną tendencją i prawdziwym kolorytem, głębsze budzi zajęcie i więcej pożytecznego przynosi owocu. Do rzędu takich należą powieści pani Schwartz, której powieść *Praca uszlachetnia* znajdujemy także pomieszczoną w przekładzie ze szwedzkiego w „Bibliotece nowości“. Pani Schwartz nie ubiega się za drażliwymi efektami, maluje życie społeczne i domowe z prostotą i wdziękiem niewyszukanym; każdą jej powieść owiewa atmosfera szlachetnej moralnej dążności, w artystyczną owita formę, z którego-to powodu powieści te pomiędzy społecznymi na szczególniejszą zasługują uwagę i na jaknajwiększe rozpowszechnienie. Z przekładów zawiera jeszcze tegoroczna serya „Biblioteki“ tłumaczoną z angielskiego powieść Edena Ula, malującą kraj i obyczaje Zulusów; obecnie zaś rozpoczął się zeszytami wydawany przekład Dumasowskiego *Monte Christo*, posiadającego nieśmiertelny urok nowości dla jaknajszerszych kół czytelniczych, jak to się sprawdza na obecnym przekładzie, rozchwytywanym tak łakomie, jak mało kiedy którakolwiek u nas książka.

Z powieści oryginalnych, zamieszczonych w „Bibliotece nowości“, najbardziej zajęły nas *Obrazki z życia* Zofii Rudnickiej, których obecnie druga pojawiła się serya. Są to obrazki z życia ludu, z taką prostotą i prawdą kreślone, tak dobrze tłumaczące jego uczucia i myśli, jak odmalować zdoła ten tylko, co się zbliżył przez długi czas temu życiu przypatrywał i odczuć umiał jego smutki rzewne i bóle serdeczne, rzadko kiedy weselszym błyskiem szczęścia opromienione. W obrazkach tych objawiła p. Rudnicka prawdziwy talent w obranym rodzaju i jako autorka dla ludu może znakomite zająć stanowisko, posiadając pióro proste a rzewne, które-to przymioty najgłówniejszą są w utworach podobnych zaletą.

Kto wszakże nie lubuje się w sielance życia rodzimego, znajdzie w „Bibliotece nowości“ Sahi Beja *Ead Boży*, obraz z życia tureckiego, lub zajmujące treścią z niedawnych dziejów zacierpniętą, opowiadanie Koszczyca *Wybrańcy losu*. Wydawnictwa Łukaszczyca nie ograniczają się atoli na samej belletrystyce. W ciągu bieżącego roku wyszedł jej nakładem cały szereg pomniejszych rozpraw i podręczników, mających na celu rozpowszechnienie treściwych wskazówek postępowego rolnictwa, przez autorów praktycznie z gospodarstwem wiejskim obznajomionych, jako to: *Podręcznik o hodowli bydła, Uprawa esparcety, lucerny, marchwi, buraków i kartofli; Uprawa chmielu; Dlaczego trzeba konia zamodu nakładać do pracy i jak to czynić należy?* wreszcie podręcznik do wykładu zoologii Oskara Schmidta *O zwierzętach*, w przekładzie Stanisława Kruszyńskiego, docenta zoologii w Szkole Dublańskiej. Już samo wyliczenie tytułów powyższych objaśnia dostatecznie kierunek, w jakim księgarnia Łukaszczyca stara się być użyteczną gospodarzom wiejskim. Od dwóch lat objęła ona, osierociałe po s. p. Hipolicie Stupnickim, wydawnictwo *Przyjaciela domowego i Gazety wiejskiej* i prowadzi je w sposób odpowiedni zadaniu obu tych pism, uzupełniających się wzajemnie, któremu wydawcy dawniejsi niezawsz, pomimo gorliwości i dobrych chęci, byli w możności podołać.

Cały mój list dzisiaj poświęcony jest sztuce i literaturze; a przecież, nie chcąc nużyć czytelnika, nie jestem zdolny, chociażby w najtreściwszym przeglądzie podać w nim tego wszystkiego, co nam ostatnimi czasy przyniosły ważniejszego prasy tutejsze. Pod Nowy Rok nakładcy spieszą z wydawnictwami aby je puścić w obieg, a pułki księgarskie zapełniają się nowościami. Odkładając na przyszły raz dalszy przegląd już wyszłych lub zapowiedzianych nowości, zatrzymajmy się chwilę nad jedną jeszcze książką, wyróżniającą się z wielu względów od innych wydawnictw społecznych. Jest to jakby zabłąkany z epoki bogatszej w uczucie i natchnienie dźwięk pieśni, przypominający lepsze czasy poezyi, będący echem jej dni świetniejszych. Są to *Pieśni z lat młodych i pieśni starca* Jana Siemieńskiego, zebrane po-

rządkiem chronologicznym, poczynawszy od roku 1828 aż do ostatniej chwili, ostatnie bowiem napisane już w r. 1882. Przed laty pięćdziesięciu Poźniak, towarzysz Wincentego Pola, żyjący w kółku młodzieży oddającej się literaturze, zabłysnął pięknym talentem poetycznym, posiadającym wiele rzetowności, prostoty, a przytem i oryginalnego nastroju, którym odznaczały się jego piosenki, śpiewane i powtarzane z lubością przez młodzież i szersze koła. Ale młody poeta wobec surowej praktyki życia zniewolony był wnet odmiennymi pójść tory, niewiadomymi w krainy poezyi. Wstąpiwszy do urzędu, Poźniak z konieczności zagrzebał się w archiwach sądowych i pracy urzędowej. Ale na dnie poetycznej duszy nie zgasła iskra, rzucona dłonią Opatrzności; nie wygasła tęsknota do wymarzonego zamłodu ideałów. Piosenki płynęły nieznanne światu, chowane przez lat czterdzieści w tece, w której młodzieniec, mąż i starzec, składał swoje wrażenia i uczucia, piersią jego miotające.

Obecnie Poźniak, ustąpiwszy z urzędu jako emerytowany prezes sądu, miał dopiero czas uporządkować swe poezye z lat pięćdziesięciu i wydać w jednym ogólnym zbiorze, nakładem dawnego przyjaciela Wiktora Zienkowicza, który cały dochód z rozprzedaży dzieła ofiarował na rzecz *Macierzy polskiej*. Z dwójakiego zatem względu zaleca się książka, bo i treścią i przeznaczeniem. Ponieważ poezye są tu umieszczone w porządku chronologicznym, jak lat kolejną płynęły z duszy autora, przeto przejawiają się przed okiem czytelnika całe dzieje twórczego talentu jego i te przeobrażenia, przez jakie w ciągu czasu naturalnym biegiem rzeczy przechodził. W poezyach tych odbiśnie częstokroć echo Polowskiej gawędy, powaga staropolskiego świata i rzewna prostota serdecznej piosenki. Ponieważ nie wszyscy zapewne czytelnicy *Bluszczu* będą mieli sposobność mieć w ręku książkę, w małej liczbie egzemplarzy, przez skromność autora, odbitą, pozwolę sobie przytoczyć z niej dwa ustępy uwydatniające w obu wskazanych powyżej kierunkach charakter poetycznego talentu Poźniaka. Otwieram książkę na chybiłtrafił i znajduję w niej wierszyk *Sierota*, z 1829 r., a więc z czasu poprzedzającego jeszcze poezye Wincentego Pola, ujmujący serdeczną prostotą:

Jabym cię kochał, aleś jeszcze mała...

— „Kochaj mię; weź mię—ja będę ci rosła,

Jak w polu olcha, jak w gaju sosna,

A całą duszą będę cię kochała...

Bo ja sierota—matka moja w grobie;

W ojcowskiej chacie panuje macocha,

Ni mnie, ni ojca, tylko siebie kocha...

Trawię me życie we łzach i żalobie.

„A w twojej chacie, zostawszy twą żoną,

Tobym zakwitła różą śród ogroda.

Bywało, dzieckiem jeszcze płacząc z głodu:

Sierotę w twojej chacie nakarmiono.

Matka twa, chociaż niezamożną wdową,

Widząc, że ziębnę, darzyła mię szatą,

A gdym jej ręce całowała za to,

To popieściła... i zwała synową.

„Dzisiaj ja pierwszą żniwiarką na łanie,

A matka twoja pracy już nie zmoże;

Pomódz jej chodzę o wieczornej porze,

Bo żywię dla niej wdzięczność i kochanie...

Nadeszła matka, zwabiona tę mową,

I rzekła do nas:— „Niechaj się nie biedzi...

Dziś ksiądz ogłosił wasze zapowiedzi,

Za trzy tygodnie będziesz mą synową.“

(Dokończenie nastąpi)



## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECZ.

Na rolniczej Wystawie Witebskiej, prócz wspomnianej już w piśmie naszym p. z Zyberg-Platerów Bujnowej, znajdowało się wystawczyń 6: pani Alina z książąt Drucko-Lubeckich Wołodkiewiczowa z Iwańska, wystawiła wyhodowane przez siebie kokony jedwabników; p. Piotrowska z Michałowa korty domowego wyrobu; p. Korsakowa z Annińska ubiory z kortów takowych szyte; p. Alina Obrąpalska wyroby pończosnicze z włókna pokrzyw; p. Emma Dubie z Janowicz gipiury; p. Helena Szytejkis z Józefowa przedmioty spożywcze w wyborze wielkim: szynki na sposób westfalski, pasztety na sposób strasburski, krótki kaczek marynowane pobiałorusku, półgęski wędzone na sposób pomorski, kielbasy na sposób berliński, zwane Bismarck—co wszystko tem wyżej stawia zasługę wystawczyni, że wyroby jej stanowią towar, nie tylko na konsumpcją miejscową, ale i zagraniczną, idą one do Dynaburga, Rygi i Petersburga, gdzie są stale spieniężane.

*Kuryer Warszawski* donosi o szlachetnie dobroczynnym zajęciu się kilku pań, które widząc jak w czasie lata upada w miastach zarobek szwaczek, rozesłały pewną ich liczbę po wsiach, gdzie, nie tylko znalazły sobie stosunkowo korzystną pracę, ale dobrze podejmowane przez wiejskich swych pracodawców, najprzeważnie włóścian, i oddychając świeżem powietrzem, zmocniły zdrowie nadwątlone życiem w mieście i pociągając pracą, trwającą zwykle przez wiosnę i początek lata. W dodatku dwie z nich znalazły sobie mężów. Pragnąć należy, aby to pocziwe współczucie dla dla najcięższej i najmniej korzystnie pracujących robotnic, nie ograniczyło się z na tej jednej pomysłnej próbie i zarazem oddziaławszy przykładem dobrem, rozpowszechniło urządzenie takich letnich kolonij szwaczek miejskich.

Warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zaprosiło na honorowego swego członka hrabinę Jadwigę z Hausnerów Łubieńską.

Marya z Sapiechów hr. Potocka nadesłała do biura *Nędzy wyjątkowej* 1.000 rs. dla roznania po 20 rs. między 50 rodzin najuboższych, a znaczną liczbą dzieci obdarzonych. Dar ten jest pamiątką zaślubin córki jej, Izabelli, z hr. Romanem Potockim. Chrześcijański to, ludzki sposób uświęcenia radości rodzinnych.

W Krakowskim Muzeum Techniczno-Przemysłowym rozpoczęło się w dniu 7 bieżącego miesiąca wykłady dla kobiet. Wykłady te, zaczynające z bieżącym rokiem szkolnym piętnasty rok istnienia, obejmują w tym roku kursa nauk następujące.

Na wydziale historyczno-literackim przedmioty stałe wykładają: docent uniwersytetu Dr Ziembka literaturę polską, oraz estetykę; p. Gustaw Ehrenberg literaturę powszechną; professor uniwersytetu Dr Stanisław Smolka historią polską; docent uniwersytetu Dr August Sokołowski historią powszechną nowożytną; p. Xawery Pietraszkiewicz pedagogikę. Z przedmiotów niestałych: professor X. Władysław Chotkowski Dzieje Kościoła w Polsce; prof. Szkoły Sz. Pięk. Władysław Łuszczkiewicz charakterystykę architektury romańskiej, na podstawie krajowych pomników kościelnych z XII i XIII wieku; professor uniwersytetu Dr M. Straszewski psychologią w głównych zarysach; Dr Franciszek Bylicki historią muzyki; Dr Malinowski rozpocznie z dniem 1 Grudnia r. b. wykład praktyczny języka polskiego.

Na wydziale nauk przyrodniczych: adjunkt krakowskiego obserwatorium astronomicznego Dr D. Wierzbicki astronomią popularną; Dr A. Alth mineralogią i geologią; professor uniwersytetu Rastafiński botanikę; p. Konstanty Jelski zoologią; professor gimnazjum Franciszek Tomaszewski fizykę doświadczalną; professor instytutu technicznego Władysław Rozwadowski chemią; docent uniwersytetu Kazimierz Grabowski higienę popularną.

Na wydziale sztuk pięknych wykładają: docent uni-

wersytetu Dr J. Kopernicki naukę o budowie i proporcjach ciała, o kształtach, postawach i ruchach; professor akademii techniczno-przemysłowej J. Rotter perspektywę artystyczną; architekt J. Wdowiszewski historią sztuki malarskiej; tenże technikę i historią przemysłu artystycznego; mała stwo miniaturowe i emaliowe, rzeźba, drzeworytnictwo, miedziorytnictwo, złotnictwo.

Oddziałów rysunkowych jest sześć. W pierwszym oddziale H. Lipiński udziela rysunków z gipsów, martwej i żywej natury, oraz malarstwa olejnego; w oddziale drugim udziela J. Siedlecki rysunku z wzorów i gipsów; w oddziale trzecim z wzorów i gipsów Leonia Bierkowska; w oddziale czwartym udziela rysunku krajobrazowego ze wzorów kierujący trzema oddziałami poprzednimi z powodu małej liczby uczennic, poświęcających się krajobrazom na półroczu zimowym; na letnie miesiące rysunku krajobrazowego z natury oddział czwarty będzie istniał samodzielnie; w oddziale piątym niedzielnego rysunku ze wzorów i gipsów udziela Karolina Birkowska; w oddziale szóstym ornamentyki i rysunku ornamentacyjnego udziela professor akademii techniczno-przemysłowej, architekt S. Odrzywolski. Dla uczennic, poświęcających się wyższemu malarstwu olejnemu, urządzony jest osobny oddział kompozycyi, rysunku geometrycznego, poprzedzonego nauką geometrii i zastosowania jej do przemysłu, ornamentyki i życia codziennego. Nauki o cieniach: własnych i rzucanych, udziela w I i II oddziale adjunkt obserwatorium astronomicznego Dr Wierzbicki.

W oddziale rzeźby udziela modelowania w glinie rzeźbiarze artyści: pp. Marcelli Gujski i Stanisław Lipiński.

W oddziale drzeworytniczym udziela drzeworytnictwa Xawera Chlebowska i kalligrafii ozdobnej L. Peszkowski.

Główny kierunek i opieka nad wydziałem Sztuk Pięknych pozostaje zawsze w ręku dyrektora Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych: Matejki.

Na wydziale handlowym wykłady rozpoczyna się wtedy tylko, gdy zbierze się przynajmniej dwadzieścia uczennic. Przedmiotami wykładanymi będą wtedy: Rachunkowość handlowa z nauką o miarach i wagach; prowadzenie ksiąg handlowych pojedyncze i podwójne, czyli rachunkowość włoska; nauka o wekslach i papierach publicznych, wreszcie korespondencya handlowa. W razie rozwinięcia się tego wydziału, wykłady zostałyby rozszerzone i wprowadzone przedmioty dodatkowe, jak: historia handlu i t. d.

Na wydziale gospodarczym wykładają B. Ryx członek Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, gospodarstwo domowe kobiece, poprzedzone zarysem gospodarstwa w ogóle. Inne przedmioty, jak: sadownictwo i ogrodnictwo warzywne i kwiatowe, jedwabnictwo i pszczolnictwo, technologia domowa, rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarczych rozpocznie się z początkiem maja — jeżeli zbierze się liczba uczennic dostateczna.

Nauka języków obcych, jak: francuzkiego, niemieckiego, włoskiego i angielskiego, rozpocznie się również skoro za zebraniem dostatecznej liczby uczennic.

Lekcji arytmetyki, jak i lat zeszłych udziela adjunkt Obserw. astr. Dr. Wierzbicki.

W Wiedniu zmarła w późnym już wieku Teresa Schubert, bratowa Franciszka Schuberta, kompozytora słodkich, iście słowicych piosenek, przy którego łożu śmierci niegdyś czuwała, jeszcze jako narzeczona jego brata. Młodziutka wtedy dziewczyna, poczuła się odważnie i szlachetnie do tego obowiązku, gdy jej mąż późniejszy, Ferdynand Schubert, wtedy professor a następnie dyrektor gimnazjum w Wiedniu, nie mógł dla zajęć swego powołania czuć przy łożku brata, ona miejsce to zajęła i była świadkiem ostatnich chwil umierającego, o których wzruszające szczegóły przechowała. Schubert gasł cicho i spokojnie; ona jedna była przy nim, gdy naraz wyciągnął rękę i zaczął szukać ściany, aby się oprzeć o nią i podnieść. Objęcie Teresy oddało mu tę usługę, już ostatnią; przytrzymał ją przez nią, o pierś jej oparty, zaczął śpiewać swoją ulubioną i prześliczną pieśń: *Erlkönig* (Król Olch) której muzyki do słów Goethego był twórcą. Na osta-

tnim wyrazie „nieżył“ głos śpiewającego, który wzmagał się zwolna, brzmiał potem czysto i niemal silnia, załamał się w westchnienie, Teresa, drżąc od wzruszenia i zalana łzami, złożyła go na poduszki, na których prawie w tej chwili wydał tchnienie ostatnie. Gdyby nie ona, byłby umierał samotny, była to więc kobieta, której należy się dobre od ludzi wspomnienie. Czy też przy ostatniej jej godzinie był obok niej ktoś, tak tkliwego i miłego jak ona serca?

Wśród dzisiejszych spraw Egiptu wiele znaczącą osobistością jest kobieta, żona obecnego khedywa, wyszczególniająca się spośród niewiast swego narodu tem, że umiała pozostać jedyną małżonką, więc zarazem i kochanką swego męża, przez ciąg dziesięciu lat małżeństwa. Zaślubiona w 1873 r. podówczas następcy tronu, Tewfik baszy, córka El-Hamida baszy, a wnuczka Abbasa baszy, wice-króla Egiptu, ks. Emineh czyli: Emina, słynęła nie tylko z wysokiego wykształcenia umysłu, ale i rzadkiej piękności: czarnowłosa i czarnooka, przy śnieżnej białości cerze i wysmukłej, wysokiej kibiści, mogła wzbudzić gorącą miłość w młodym małżonku, aby przecież po tylu latach małżeństwa, matka już czworga dzieci, tak panowała nad sercem męża tam, gdzie obyczaj uprawnia niewierność w miłości i rozszerzenie tej miłości na inne kobiety nie każe uważać za złamanie obowiązku—trzeba, aby osobistość żony była wysoce nakazująca szacunek i wysoce wiążąca do siebie serce męża. Dowód, że tak jest, że Emina umie sama silnie kochać, a jest zarazem mężną i dzielnego ducha niewiastą, został przez nią złożony wśród wypadków ostatniej wojny. Podczas szturmie Alexandryi, proponowano jej, aby schroniła się wraz z dziećmi na okręt angielski, ona przecież pozostała przy mężu, na wyłomie niebezpieczeństwa, o którym nie można wątpić, jak wielkiem było, teraz zwłaszcza, gdy z zeznań składanych przy procesie Arabi-paszy widzimy, że istniał zamiar zabicia khedywa. Ona przecież nie uległa się i pozostała, wykazując na sobie, że prawdziwa miłość „mocną jest jak śmierć“, bo mocniejsza od trwogi śmierci, od myśli zagłady. Że księżna nie skłoniła się do ucieczki z miłości dla dzieci, że zasłaniając je przed burzą losów, nie odstąpiła męża i dla jednego uczucia nie przenie-wierzyła się drugiemu, należy jej policzyć za zasługę wzniosłego ducha i gorącego serca. Dzieci nie puściła tylko od siebie, co na całe ich istnienie musi mieć wpływ wyroczny, bo już w maleństwie dano im przeżyć w sposób szlachetny i bohaterski wielki moment: poświęcano je raczej, niżby miano w imię ślepej dla nich miłości zbiedz ze szlachetnie pojętego stanowiska obowiązku. Ta matka wychowała też niewątpliwie dzielnych synów i dostojne jak ona córki, a ma ich dwie: dwie dziewczynki, tak jak dwóch chłopców. Zestawiwszy sobie w myśli wpływy tej chwili na serca i umysły dzieci, widzi się dopiero doniosłość tej prawdy pedagogicznej, że tam tylko dzieci mogą być w wyższym znaczeniu tego słowa dobrze wychowane, gdzie matka nie przeważa ani żony, ani obywatelki, wogóle kobiety: gdzie utrzymana harmonia uczuć i obowiązków tworzy dopiero razem jedną piękność moralną.

## ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 44).

— Powiedziałeś pan „utowił“, nie rozumiem co to znaczy? — odparł porucznik Tompson.

— No, więc gdzie go zdobył, jeżeli pan wolisz? Bo dotąd nie widzę nic wojskowego w całej karierze szanownego gentlemana.

— Jest to tylko szczegół, jednakże zasługujący na dokładniejszą wzmiankę. Było to w 1862 r.



na początku wojny o niepodległość; Stany Północne przegrały właśnie bitwę pod Bulls-Run i zaczęły spostrzegać popełniane dotąd pomyłki i błędy. Armia regularna, składająca się w czasach zwykłych z 20,000 ludzi, znikła niemal cała; oficerowie wszyscy ze szkoły West-Point i po większej części należący do rodzin ze Stanów Południowych poszli do szeregów powstańczych; żołnierze, Irlandczycy lub Niemcy, rozrzućeni wśród olbrzymich przestrzeni Texasu, rozproszyli się tak, że gdy przyszło gromadzić wojsko, zaledwo dwa czy trzy tysiące ludzi stanęły do apelu. Chwila była ważna; kongres ustanowił pobór do wojska w liczbie 500,000 ludzi. W Europie, krok podobny uważano za wariację, w Ameryce zaś, wszystko co się chce, można wykonać; umiemy zawsze znaleźć w nas samych środki odpowiadające potrzebie danego wydarzenia.

Czy wiecie w jaki sposób tworzą się pułki w Ameryce? W sposób bardzo łatwy i prosty — natychmiast po uchwaleniu kongressu, oznaczającej liczbę rekrutów, rozsyła się o tem zawiadomienie do wszystkich Stanów połączonych. Każdy gubernator zawiadamia, że w jego jurysdykcji ma być tyle a tyle zformowanych pułków. Od tej chwili pożerająca gorączka opanowuje wszystkie klasy społeczeństwa; a pewnym być można, że wśród znaczniejszych obywateli znajdzie się spora liczba ludzi zacnych, bogatych, którzy nie wahają się oddać na usługi ojczyzny swego czasu, majątku, a w stanowej chwili nie poskąpią i krwi własnej.

Niektórzy moralisci wytworzyli nam w Europie złą opinią; rozpowszechnili — szczególnie w Francji — ubliżające pojęcie, że dla Amerykanina Bóg, to pieniądz. My wprawdzie uważamy pieniądze jako główną sprężynę świata i większą część naszego życia poświęcamy, aby ich zyskać jaknajwięcej, lecz umiemy ich używać, a w potrzebie i poświęcić dla dobra wspólnego.

W nagrodę za poświęcenie czegoś żądają owi gorący patrioci, ulubieńcy fortuny? Żądają nieco zaszczytów. Dozwólcie nam sformować pułk mówią rządowi: my odpowiadamy za wszystko, do nas należeć będzie żołd, żywność, uzbrojenie, wy tylko w zamian dacie nam patenta pułkowników. Żądania napływają — toczą się układy o nominacje: jednym słowem w krótkim przeciągu czasu widzieć można poczciwych mieszczuchów lub spokojnych kupców, przypasujących szable i zmieniających się w dowódców legionów.

Tak więc d. 17 Lutego 1862 o godzinie 2-iej po północy master Simpson, wyszedłszy z klubu wrócił do swego pięknego mieszkania i zbudziwszy Mistress Simpson rzekł do niej: Kochanie moje, sztyftuję pułk, którego zamianowano mnie pułkownikiem, a za tydzień wyruszam do Washingtonu.

Jako prawdziwa Amerykanka, zacna połowa nie wzruszyła się wcale wiadomością udzieloną jej przez męża, który tegosamego dnia jeszcze powierzył klucz od kasy pełnomocnikowi, a po upływie ósmej doby od owej chwili był w drodze do Washingtonu na czele trzech tysięcy uzbrojonych ludzi.

Simpson brał udział tylko w Kampanii Potomaku, która stanowiła pełen sławy wstęp do ostatecznego zwycięstwa i przewagi Północy nad Południem; bił się jak lew, w przeprawie u Warwick-creek zginęła połowa jego pułku, a w bitwie pod Williamsburg wielce się odznaczył. Był to koniec jego krótkiej lecz świetnej kariery wojskowej. Doskonały żołnierz, jak każdy Amerykanin mający dobrą wolę, posiadał jednakże zbyt mało strategicznej wiedzy, by mógł zostać wielkim i znakomitym wodzem. Po sławnej też bitwie pod Malvern-Hill, zmęczony trudami obozowego życia i nabytymi reumatyzmami otrzymawszy żądaną dymisję powrócił w rodzinne progi do San-Francisco, gdzie prawdopodobnie nazawsze złożył swą szablę i generalskie szlify.

W kilka lat później mocno zachwiane od urodzenia Tilli zdrowie mistress Simpson zaczęło budzić poważne obawy. Doktorzy radzili podróżować; dla generała przebyć ocean, to prawdziwa zabawka. Simpsonowie też wyjechali do Japonii. Zdrowie chorej zyskało wiele na tej zmianie powietrza: po sześciomiesięcznym pobycie w kraju *Wschodzącego słońca* powróciła do Kalifornii, niemal uzdrowiona.

Jednakże nie upłynęło jeszcze dwóch lat, a mistress Simpson wpadła znów w stan niewypowiedzianego osłabienia. Za pierwszym razem podróż posłużyła dobrze; wybrano się więc w drogę po raz drugi, lecz tym razem do Francji. Było to podczas wystawy w Paryżu, w roku 1867; zabawiono blisko trzy miesiące, a z końcem Września ruszono z powrotem do San-Francisco przez Marsylię z zamiarem krótkiego jeszcze w Japonii przystanku.

Przystanek ów przedłużył się kilka miesięcy i mistress Simpson raz wtóry powróciła do zdrowia.

Ta druga próba stanowczo wpłynęła na postanowienie poczciwego generała: nabył ziemię w Yokohamie, wybudował sliczną willę i uradzone, że nie porzucając zupełnie San-Francisco, rodzina cała przyjeżdżać będzie corok na sześć miesięcy do państwa Mikada. Zwolna sześć miesięcy, przeznaczono na Japonię, zaczęły się wdierać w prawa sześciu miesięcy, należnych Ameryce; aż pewnego poranku spostrzeżono, że zaledwo pozostał czas potrzebny na odbycie podróży tam i napowrót, jeżeli chciano zdążyć znów do Yokohamy na początek jesieni, to jest na czas najprzyjemniejszy w Japonii. Więc, aby się nie spóźnić, nie pojechano już wcale i odtąd zapominano jakoś zawsze o dacie wyjazdu. Jednym słowem: nie wyrzekając się zupełnie Ameryki, gdzie od czasu do czasu przejeżdża się dla przyjemności, generał Simpson z rodziną swą, jak mi się zdaje, stanowczo osiedlił się tutaj, kochany i szanowany przez wszystkich.

Pod koniec powyższego opowiadania porucznika Thompsona spłonęły już dwie czy trzy papierowe latarnie, świece dogorywały. Gastinet, myśląc o niedalekiej chwili przypadającej nań służby od czwartej do ósmej zrana, zasłaniając się ręką, ziewał tak zapamiętale, że o mało szcęk sobie nie zwicznął. Amerykanie, uznając chwilę odpowiednią do przerwania posiedzenia, podnieśli się z miejsc swoich i po licznych uściśnieniach dłoni, po gorących zapewnieniach przyjaźni, zabierali się do powrotu.

— A nie zapomnicie o *poniedziałkach* na fregacie *Monroë*, — zawołał jeszcze Davis, zstępując po kładce do łodzi.

— Możecie na nas liczyć, — odpowiedział Gastinet.

Przez chwilę słychać było miarowy odgłos poruszanych wiosel, niby chrapliwy oddech coraz słabnący w oddaleniu; przez dwie lub trzy sekundy widać było jeszcze łódź; lecz wkrótce wpłynęła w ciemność, pozostawiając tylko za sobą jaśniejącą na wodzie smugę.

Na morzu panował zupełny spokój; powierzchnia wyglądała niby tafła szklanna, tylko kiedy-niekiedy fala długa, płaska, ostatnie odetchnienie minionego oceanicznego gniewu, kołysała zlekka stojącymi na kotwicach okrętami.

Ogólny widok przystani sprawiał urocze wrażenie; niebo zdawało się tem bardziej gwiaździstym, że nie było tej nocy księżycy, a ciemny błękit firmamentu uwydatniał niezwykle blask niby brylantów rozrzuconych w przestrzeni niezliczonych światów. Wśród ciszy odzywał się tylko niekiedy, budząc echo uspięne, głos świstawki sternika, oznajmijający zmianę warty.

Te noce w przystani Yokohamy są prawdziwie czarowne; ognie okrętów rzucają na wszystkie strony promienie czerwone lub białe, tworząc rodzaj świetlanej mgły, unoszącej się ponad wodą,

nieoświecając jej jednak. Niekiedy błysnie i zniknie żywsze światelko: to latarnia zapóźnionej łodzi, powracającej do portu.

Miasto wygląda jak otoczone aureolą: z jednej strony świeci wyraźnie szereg lamp nadbrzeżnych; nalewo, ponad drzewami dzielnicy *Wzgórza*, widać blade światła, na prawo telegraf i ratusz japoński; przestrzeń ciemna to Benten uspijony, a dalej w tym samym kierunku długi smug błyszczący to Yochirara, z kąd zdają się wznosić niby kłęby jakiejś, rozkoszą przejętej, atmosfery. Nakoniec jako tło obrazu widać rysujące się czarno na kobaltowym firmamencie kształty ponure i wspaniałe nieśmiertelnego Fury.

## VIII.

Kłopoty spowodowane przybyciem w nocy. — Dwaj przyjaciele. — Bezsensowność; nagłe przebudzenie. — Przechadzka po mieście. — Wrażenia.

Z początkiem następnego tygodnia pojechałem do Yeddo. Jeden z mych dobrych przyjaciół, officer marynarki, należący do missy wojskowej, a którego nie widziałem jeszcze po przybyciu do Japonii, zaprosił mnie do siebie na dni parę, dla zwiedzenia starej stolicy *Taikunów*. Pisząc do mnie wskazał mi godziny pociągów zalecając przybyć rano.

„Dąłem memu *betto* twój rysopis, — dodał w post-scriptum; będzie czekał na ciebie jutro o ósmej na dworcu kolei“.

List odebrałem o godzinie szóstej wieczorem, i zamiast czekać do dnia następnego, nie wiem co mnie pokusiło: wyjechałem natychmiast ostatnim wieczornym pociągiem.

Adres mego przyjaciela trudny był dosyć do zapamiętania dla ucha niedostatecznie jeszcze oswojonego z językiem japońskim; zapomniałem go też, ale raz tylko jeden podczas drogi pomyślałem o tym szczególe. Przybywszy na miejsce, mogłem się znaleźć w wielkim kłopotcie, co rozważywszy zrozumiałem popełniony nonsens, tak, że na drugiej stacyi, Kawasaki, zdaje mi się, zapytałem: czy nie było jakiego jeszcze pociągu idącego do Yokohamy miałem bowiem szczerą intencją powrócenia do siebie.

— *Arimasen*, — odparł mi lakonicznie urzędnik kolejowy „niema“. Stało się więc.

Około wpół do dziesiątej przybyłem do Yeddo. Było to trochę zapóźno, jak na przybycie do miasta, o którym posiadało się zaledwo niewyraźnie jakieś wskazówki. A w dodatku, jak na nieszczęście w całym pociągu nie było ani jednego Europejczyka, od którego mógłbym zasięgnąć potrzebnych mi wskazówek. Wszedłszy do sali pasażerskiej, daremnie dopytywałem się o kogoś znającego język francuzki lub angielski; mała garstka podróżnych, przybyłych o tak późnej porze, już wyruszyła ku miastu. Dwóch czy trzech tylko urzędników, zajętych obowiązkami służbowymi, przechodząc, patrzyło na mnie wzrokiem zidyociałym, wcale nie uprzejmym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-ty powieści pod tytułem: **Żelazo**.

**TREŚĆ.** Sen o Maju, (poezja), przez M. I. — Pozytywizm w praktyce, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Wspomnienie poety, życiorys, (dalszy ciąg), przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań) — Z działu przyrody. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.